

Barbarzyńca w katedrze – Elżbieta Morawiec

Zdawało się, że po „Kłątwie” Frlijcia w Teatrze Powszechnym w Warszawie - z bezczeszczeniem krzyża, oralnym seksem ze statuą Jana Pawła II - już nic gorszego zdarzyć się nie może. A jednak...

Tę wojnę z teatrem o teatr toczę od 1974 r. Zaczęło się od pamiętnej „Balladyny” z Goplaną jeżdżącą na srebrzystej hondzie. Nie mnie jedną razita wówczas produkcja Hanuszkiewicza. A i on, realizator świetnego „Beniowskiego” czy „Norwida”, niejedną miał twarz. Biograficznie mistrz Adam nie należał jednak do pokolenia, wraz z którym rozpoczął się marsz barbarzyńców przez teatr. A zaczął się on w paryskim maju 1968 r. wraz z dewizą tej nowej rewolucji „Zakazuje się zakazywać”. Sam wielki Jean-Louis Barrault pokłonił się nowemu bożkowi w Odeonie.

W Polsce z racji polityczno-historycznych (powstanie Solidarności, stan wojenny) „nowa rewolucja kulturalna” przyhamowała w latach 80., by z wściekłą siłą uderzyć po odzyskaniu niepodległości. Stało się to wraz z wejściem na scenę wychowanych w pepinierze Krystiana Lupy „młodych, zdolniejszych” (Warlikowski, Jarzyna, Zadara, Klata, Kleczewska). Poświęciłam ich wyczynom w 2016 r. tekst „W roztrzaskanym lustrze” (w tomie „Obrazki polskie”). Jego tezy się nie zestarzały, a zasady pracy tych twórców sprowadzają się do obniżenia rangi dzieła, niszczenia języka i jasności przekazu oraz indywidualności aktora.

Mając Kleczewską z jak najgorszej strony poznałam w dwóch inscenizacjach - z „Fedry” z Teatru Narodowego w Warszawie wyszłam po krótkiej chwili, kiedy na proscenium stanęła bohaterka w sukience typu op-art, czerwonym szerokoskrzydłym kapeluszu, z pieskiem na smyczy. Wokół niej na gimnastycznych materacach leżeli pacjenci szpitala wariatów. Z kolei na Szekspira „Śnie nocy letniej” w krakowskim Starym mężnie wytrzymałam do końca, nie bacząc ani na bogactwo ubarwiających tekst wulgaryzmów, ani na to, że sprawa działa się w... burdelu. Mniej więcej wiedziałam, czego oczekiwać po Kleczewskiej. Jednak „Dziadami” w krakowskim Teatrze im. Słowackiego (gdzie prapremierę Mickiewicza firmował sam Wyspiański) wprowadziła mnie w przerażenie.

W czasach, kiedy na scenie figlował sobie Adam Hanuszkiewicz, w Polsce istniała też inna, bogata propozycja - teatr Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy, Jerzego Grzegorzewskiego. W erze Kleczewskiej już prawie nie ma nic - na dalekiej rubieży broni się Wierszalin Tomaszuka, nie wiem, jak sobie radzą w Warszawie ze Sturm und Drang nowej teatralności - Jan Englert w Narodowym czy jego brat we Współczesnym.

W Krakowie już się kamień na kamieniu nie ostał. Parę tygodni temu pisałam o „Halce”, która oprócz tytułu z Moniuszką nie miała nic wspólnego.

Teraz, zanim przejdę do scenicznego produktu propagandowego Kleczewskiej, zatrzymam się przy innym „dziele”. Wykonano je w małym teatrzyku (Teatr Nowy/Proxima) na krakowskim Kazimierzu. Zwie się to „Kora boska” i jest niby opowieścią o zmarłej gwiazdce Maanam. Rozwódzić się nad tym nie ma co, wystarczy powiedzieć, że oto Kora staje w zaświatach przed sądem ostatecznym, na który składają się trzej transwestyci przebrani odpowiednio za - Matkę Bożą Częstochowską, Fatimską i tę z Guadalupe. Nazwisk tych panów -binarni oni czy niebinarni - wymieniać nie będę. Dzieło wydała z siebie bliżej nikomu nieznana Katarzyna Chlebna. Podniosły się protesty tu i ówdzie, na co zespół odpowiedział, że to cenzura, kneblowanie, a w ogóle rzecz jest o miłości, nadziei i wierze. Ów teatrzyk radzi sobie znakomicie - dwie matki ssie - jedna to Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, druga - samorząd. I żadnej z tych instytucji nie

przyszła w ogóle do głowy, że trzeba absolutnie odciąć źródło zasilania dla brzydoty, głupstwa i profanacji.

Polacy - nic się nie stało? Stało się, i to bardzo. Ministerstwo i władze samorządowe nie mogą dłużej zamykać oczu na profanację świętości, kulturowe barbarzyństwo, po którym pozostają tylko ruiny i spalona ziemia. Nie wolno im. Pora zakręcić kurek zasilający z pieniędzy podatników - spektakle, które obrażają ich godność, opluwają ich religię, obracają wniwecz tradycję. Czy to będzie cenzura? Skądże! Zresztą już Wyspiański w „Wyzwoleniu” wołał: „Musi być cenzura narodowa”.

KTO SIĘ WYKLUCZA Z POLSKIEJ KULTURY

Wiele widziałam w życiu realizacji „Dziadów”. Dejmkowe z 1967 r., Swinarskiego z 1971 r., Kazimierza Brauna z 1978 r., dwie realizacje Grzegorzewskiego (1978,1995) oraz wiele pomniejszych. Każda z nich nosiła piętno reżyserskiej ręki, ołówka i odcisku czasu, w którym powstała. „Dziady” Dejmkowe były uświęcaniem się męczeńskiego narodu, cierpienia Konrada oplatała pobożna, piękna liturgia ludowa. Swinarski wykreował wyrazistą psychomachię dobra ze złem, kreśląc przy tym głęboki podział rysujący się w społeczeństwie pomiędzy romantyczną, uskrzydloną młodzieżą a pochrapującym we śnie ludem. Braun (chyba jako jedyny zagrał prawie cały tekst) prowadził widza przez całe miasto jak Gustawa-Konrada przez życie; był to swoisty Bildungsroman, kształtowanie się świadomości, Grzegorzewski kreował rekonstrukcję pamięci zbiorowej. Żaden z tych inscenizatorów, łącznie z Wyspiańskim i Schillerem, nie odarł arcydramatu narodowego z jego historycznej skóry, nie wyrwał mu serca. A tak właśnie po raz pierwszy w dziejach scenicznych Mickiewiczowskiego dzieła zachowała się Kleczewska - obdarła go ze skóry i wyrwała mu serce.

Są w kulturach narodów dzieła, nie waham się tych przymiotników użyć, wielkie i święte, w których zamykają się narodowa dusza i tożsamość. Nigdzie nie jest to wyrazistsze niż w kulturze polskiej i właśnie w „Dziadach”. Ten dramat heroiczny, dramat patriotycznego ofiarництва stał się - jakże proroczo, dzięki geniuszowi Mickiewicza - paradygmatem polskich dziejów w czasach, które nastąpiły po buncie filaretów. Jego dziejowymi odwzorowaniami były czyn listopadowy w 1830 r. i czyn styczniowy w 1863 r., czyn legionowy, męczeństwo narodowe w czasach PRL - śmierć Inki, śmierć 13-letniego Romka Strzałkowskiego z Poznania, Grzegorza Przemyka, Zbyszka Godlewskiego, dziewięciu z Wujka i ks. Jerzego Popiełuszki. Ilekroć słyszę o śmierci Rollisona, przed oczyma pamięci staje mi Jan Rodowicz, wypchnięty przez bezpieczeństwo z okna w 1948 r. Wszystko to „Dziady” obejmują swoimi orlimi skrzydłami i wznoszą do panteonu chwały. Kto tego nie rozumie, ten nic nie rozumie z polskości. Kto profanuje „Dziady” i sprowadza je do roli brudnej agitki gender, Strajku Kobiet czy innych fałszywych wiar neomarksizmu, jak Kleczewska, wyklucza się z kultury polskiej.

Zdawało się, że po „Kłątwie” Frljicia w Teatrze Powszechnym w Warszawie - z bezczeszczeniem krzyża, oralnym seksem ze statuą Jana Pawła II - już nic gorszego zdarzyć się nie może. A jednak Kleczewska wszystko przebiła.

BARBARZYŃCA W SPÓDNICY

Kultura europejska, kultura każdego kraju ma swoje symbole. We Francji są nią najpiękniejsze na świecie katedry gotyckie. W paryskiej Notre Dame, rekonstruowanej po pożarze, podobni naszym szalejącym inscenizatorom barbarzyńcy chcą uwić gniazdko multikulti, zlikwidować konfesjonały, cytaty z Biblii wyświetlać na ścianach, wprowadzić do świątyni jakieś opowiadki. U nas w wielkiej świątyni polskiej literatury szaleje komisarz Kleczewska, barbarzyńca w spodnicy. Dzieło

„rekonstruktorów” z Paryża i krakowskiej inscenizatorki ma to samo przesłanie - ogołocić Europę, ogołocić Polskę z tożsamości, uczynić z niej targowisko fałszywych wiar i pustych słów.

Nad spektaklem unosi się wyświetlony obraz Marii Janion wypowiadającej tekst Mickiewicza: „Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!”. Jakżeby inaczej - to nie duch autora polatuje ponad kurtyną Siemiradzkiego, ale duch pani profesor od transgresji, systematycznie zwalczającej „paradygmat romantyczny”. Dlaczego Konrada gra w tym przedstawieniu kobieta (mniejsza o nazwisko, jako zasadę przyjmuję niewymienianie nazwisk takich kuglarzy) o kulach? Ano, jak uzasadnia jedna z głębszych apologetek spektaklu, to połączenie w jednej osobie Janiny Ochojskiej i Klementyny Suchanow?! Ale kobieta - dlaczego? To już sama odpowiem: albowiem w XXI w. i zapyziałym świecie Kleczewskiej biały samiec alfa (nic to, że import z BLM z Ameryki, poprawki są rodzime) nie może już być bohaterem, teraz ofiarą historii może być tylko kobieta. Najlepiej o kulach (i po aborcji, ale tego na scenie nie widać). Konsekwentnie kobietami są też (na szczęście słabo widoczne, bo w orkiestrowym kanale p.o. „współwięźniów, współwyznawców” Konrada paniusie ze Strajku Kobiet).

Wszystko się we mnie wzbrania przed dalszym opisywaniem tej bredni, ale jedno trzeba podkreślić w szczególności - w całej tej inscenizacji chodzi o zmianę kodu kulturowego. Czas będzie się odtąd liczył od przedstawienia Kleczewskiej - jako transgresja (wedle recepty Mistrzini Janion) głupiego, zaściankowego kodu męskiej, heroicznej ofiary, do wejścia w krainę ofiary szemranej „kobitki” ze Strajku Kobiet.

Jeszcze jedna podmiana, znamienita - „sługa pokorny i cichy”, ks. Piotr, u pani komisarz Kleczewskiej jest napuszonym purpuratem, który egzorcyzmuje i... gwałci małą dziewczynkę. Jak to się ma do sensu oraz tekstu i skąd ten purpurat? Ano Kościół według komisarz Kleczewskiej to wszeteczeństwo i źródło wszelkiego zła. Ale jesteśmy w Krakowie, tu arcybiskupem miejsca jest ks. Marek Jędraszewski, duchowny wyjątkowej mądrości, klasy, wielki patriota. Cemuż by weń nie uderzyć? I jako dopełnienie całości - lud z obrzędu, widoczny w głębi sceny, to szalikowcy, kibole, prymitywy.

No i dokonało się - degradacja wielkiego narodowego arcydzieła do roli agitki feminizmu. Świątynia wielkiej sztuki zdeptana buciorami tępego barbarzyńcy. Mickiewicz zniszczony, możemy ruszać dalej. Tylko dokąd? Komisarz Kleczewska i inni jej podobni nie mają świadomości, że przemieniając całą kulturę w rzeczywistość „niższej rangi”, odbierając jej tożsamość, sami stają się ludźmi bez tożsamości, wykorzenionymi dziećmi pustki.

Walec poczynił ludzi pokroju Kleczewskiej przetoczył się już przez całą Polskę. Władza nie może cierpieć na niedowidzenie i nadal subsydiować rujnowanie polskiej kultury. Nie można nie zauważać, co zrobił z „Halką” dotowany kwotą 14 mln zł Stary, nie wolno wspomagać instytucji, które niczym wartościowym absolutnie się nie wykazały, jak Teatr Nowy/Proxima.

W pochwalnych recenzjach z „Dziadów” jako argument na rzecz „wybitności” powraca... frekwencja. Teatr jest oblegany, zatem „Dziady” to arcydzieło. Jakby nigdy skandale nie były lepem na gawiedź żadną sensacji. Marszałek województwa małopolskiego bezwzględnie powinien odciąć Teatrowi im. Słowackiego finansowanie [Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego z patronatu nad Teatrem im. Słowackiego w Krakowie niedawno się wycofało - red.]. Mają frekwencję - niech żyją z kasy. Zdecydowanie lepiej zaprosić do Krakowa wspaniałą inscenizację „Dziadów” Piotra Tomaszuka z teatru Wierszalin.



Tytuł oryginalny

Barbarzyńca w katedrze

Źródło:

Do Rzeczy nr 3/17/23-01-22